

Przeięte? Przerąbane

Michał Witkowski
Drwal
Świat Książki
Warszawa 2011

W opublikowanym na początku grudnia wywiadzie wyraził Michał Witkowski nadzieję, iż „nie ma w sobie wiele z inteligenta”. Rzadko kiedy nadzieja bywa już tak od razu spełniona, a nawet znacznie wcześniej. W przywołanej rozmowie powiedziało się jeszcze Witkowskiemu, między innymi, i coś takiego: „Z przerażeniem czytałem niedawno wydane *Chamowo*. Mimo że znałem je z rękopisów, to się za głowę łapałem, jakie to nudne”. Tego rodzaju enuncjacje należałoby spokojnie (o ile się tu da zachować spokój) pozostawić w dziale kuriozów życia literackiego. Pojawiła się jednak nowa książka autora *Fototapety*, recenzenci chwalą i się radują. Panie i panowie, koleżanki i koledzy – naprawdę uważacie, że to taki dobry i ważny pisarz? Bo miałbym parę wątpliwości.

Owszem, do czytelniczej rozpaczy bardziej doprowadzają mnie jego teksty dyskursywne niż powieści i opowiadania. Może więc mocniej powinienem się postarać, aby zawsze oddzielać prozaika od felietonisty, powieściopisarza od wywiadodawcy? Kłopot przecież w tym, że sam Witkowski zbyt się stara, by odbiorcy takie po-

działy jeśli nie uniemożliwić, to za wszelką cenę utrudnić. I nie powiem, udaje mu się, aż do wykluczenia jakiegokolwiek sensownego dialogu z autorem. Rozmowa z nim sprowadzić się musi do takiej mniej więcej postaci:

- Czy *Drwal* to kryminał?
- Tak, zależało mi na zwykłym czytelniku, który szuka głównie atrakcyjnej intrygi.
- Ale w pewnym momencie zawiesza pan tę intrygę bez rozwiązania?
- Nie rozumiem mnie: to ma być taki kryminał przeięty.
- A może jednak celował pan w tragedię, stąd te przywołania *Makbeta*?
- Każdy poważny pisarz, wcześniej czy później, wraca do Szekspira...
- Tylko że te wątki tragiczne wyszły mało poważnie.
- A bo ja tylko żartowałem.

Et cetera. Jeśli ktoś chciałby jeszcze zrobić wywiad z Witkowskim, niech się nie umawia ani trudzi, wystarczy pociągnąć dalej w tym stylu. Autor żyje w błogim przekonaniu, że jest niewywrotny, niezahaczalny. Że zawsze umyka. Podstawę teoretyczną znalazł (lub tak mu się wydało) w estetyce (czy raczej ideologii) kampowej. W najnowszej powieści konstatuje:

„Mówiąc na marginesie, odkryłem, że owe trzy wiedźmy [z *Makbeta*] jako pierwsze zdefiniowały kamp, a nawet wypowiadają coś jak estetyczny kampowy manifest, na długo przed Susan Sontag. Brzmi to różnie, w zależności od przekładu, na przykład u Słomczyńskiego:

«Pięknym jest brzydkie, brzydkim piękne,
Wzlećmy w mgłę i powietrze stęchłe»”.

Wprawdzie do Witkowskiego bardziej by pasowało tłumaczenie Barańczaka – „Co świetne, to szpecmy / Co szpetne, tym świećmy” – ale nie piszę teraz szkicu z translatoologii. Wracam do kampu. Jeszcze w *Lubiewie* skarżył się autor i ubolewał: „Wśród heteryków «całą gębą» nie

ma miejsca na ironię, na grę, na cudzystów, stylizację, nie mówiąc już o kampie. To największa różnica między nimi a nami”. Ta różnica jest tu jednak tylko problemem pozornym czy maskującym. W domniemanej analizie wypełniającej ten fragment nietrudno odkryć hierarchizujący sąd: „my” zawsze górą. Skoro zaś tak się mają sprawy, to cokolwiek Witkowski zrobi, powie czy napisze – będzie zawsze odporne na krytykę. Krytyka bowiem jest poważna, zasadnicza, a „my” – czyli nade wszystko „ja, Witkowski” – chcemy się bawić. Tak przecież, aby przy okazji jak najwięcej dla siebie zagarnąć: choćby uwagi czytelniczki i krytycznoliterackiej.

Jak ktoś chce, można na szachownicy grać pchełkami. Prosiłbym tylko, żeby – gdy, już trudno, spróbuję i wezmę duży krążek w palce – nie wyciągać zaraz kart do piotrusia. Zgoda, można się umówić, że gramy dla samej gry. Gdyby się jeszcze tylko udało dogadać co do reguł. Nie chciałbym jednak zbyt oddalać myśli, że w grze bywa się czasem przegranym. W pogrywaniu (sobie) z literaturą również.

Lubiewo zostało przyjęte wręcz entuzjastycznie. O czym to wtedy nie pisano! I o społecznej ważności literatury, ale też o ocaleniu autonomii tejże. Kogo nie przywoływano! W tym, zauważyć warto, dzieła podpowiedziane przez Witkowskiego. Ba! książka ta już się staje przedmiotem refleksyjnych westchnień z dystansu. Pewien krytyk, zastanawiając się nad „krajobrazem po Lubiewie”, nazwał to dzieło książką dekady (której? której?). Inny badacz, pisząc o ukrytym zapisaniu wątku homoseksualnego przez Białoszewskiego, uznał metodę wykorzystania tej tematyki przez Witkowskiego za „sposób równie udany artystycznie”. No nie, panowie, trzeba wiedzieć, gdzie Rzym, a gdzie rzyć.

Nie zamierzam odmawiać Lubiewu wszelkich wartości. Gdyby jeszcze nie była to powieść tak

efekciarska, gdyby autor aż tak często nie epatował czytelnika, gdyby wreszcie do skończenia tej książki nie trzeba się było zmuszać z powodu jej tematycznej monotonii... Z autora, który właśnie skończył 30 lat, mógł wyrosnąć poważny pisarz. Jednakże stało się coś, co w teorii literatury nazywa się statusem saturatorialnym, potocznie zaś określa się to mianem uderzenia wody sodowej.

Od efektu tego nie jest wolna również powieść najnowsza. Wiem oczywiście, że bohatera nawet galopująco autobiograficznego nie wolno utożsamiać z autorem. Zdaję też sobie sprawę, że Witkowski jest ironiczny, autoironiczny, niejednoznaczny i kempowy jak kemping. Nie potrafię jednak pozbyć się przekonania, w myśl którego czasami – i w sumie! – mówi Witkowski znacznie więcej, niżby chciał.

Bohater Michał Witkowski wyjeżdża tedy w odcięty od cywilizowanego świata rejon wyspy Wolin, aby pisać kryminał oraz podreperować nerwy i zdrowie po pobycie w „tej Warszawie” (nazwa stolicy często jest poprzedzana zaimkiem wskazującym). No cóż, topos zepsutego miasta i zdrowej wsi nie zaleca się jakąś szczególną oryginalnością, a nie mówię już o wiarygodności takiej motywacji w przypadku akurat Witkowskiego. I jeszcze kryminał. Gatunek cieszy się w Polsce od sporego już czasu dużą estymą, pewnie więc mierzy przy okazji Witkowski w Wielki Kaliber (w cytowanym na początku tego szkicu wywiadzie zwierzył się z trudu przeczytania wielu szwedzkich kryminałów). Spotyka okropnego proleta w dresowych spodniach i bluzie z kapturem. Zaczyna się wątek homoerotyczny; żeby zaś trafnie rozpoznać gombrowiczowskie inspiracje, czytelnik dostaje króciutki wykład o niższości. W innym miejscu raz jeszcze przywołany wprost został inny pisarz; epizod ów niekoniernie zresztą świadczy o dobrej orientacji autora Drwała w dziełach Białoszewskiego. +

Witkowski często wspomina o swoich „fanach z Facebooka”, jako gwiazda i pisarz jest rozpoznawany przez wielu: gospodynię, alkoholyczną eks-sprzątaczkę, gangsterów. Przyznaje, co więcej: „ze wszelkiego rodzaju mafiozami, złymi a bogatymi mężczyznami tradycyjnie łatwiej znajdowałem wspólny język niż na przykład z dobrą, ubogą studentką polonistyki z akademika”. Tuż przed tą konfrontacją proponuje enumerację składników „zapachu wnętrza samochodu bogatego faceta”, która – nie wiedzieć czemu – brzmi jak hymn.

Owszem, rozpoznaje go też artysta Mieszko. Poznając go i odkrywając wspólnotę społeczną, Witkowski zastanawia się nad „nasyconiem inteligencją w promieniu pięćdziesięciu kilometrów”. Wyliczając inteligentów, zaczyna od siebie. Piękne socjalne samoprzypisanie, ale droga jeszcze długa i daleka.

Adam Poprawa

Literacki makrokosmos

James Joyce
Finneganów tren
 przełożył Krzysztof Bartnicki
 Wydawnictwo Ha!Art
 Kraków 2012

„Follow your inner moonlight,
 do not hide the madness.”

Allen Ginsberg

James Joyce, autor słynnego *Ulisses*, powrócił na polski rynek wydawniczy publikowanym dotychczas w naszym języku jedynie w fragmentach dziełem *Finnegans Wake*. Czytelnik ma ekstatyczny przywilej ujrzeć gotowy przekład książki (początkowo ukazującej się pod tytułem *Work in Progress*) dzięki tytanicznej pracy tłumacza Krzysztofa Bartnickiego.

Finneganów tren, bo tak brzmi polski tytuł przekładu, to dzieło nad wyraz trudne i uchodzące za nie-do-przeczytania. Odrzucony przez autorytety współczesnej sobie epoki, po dziś dzień wzbudza żywe kontrowersje i od pierwszego zdania powoduje nieuchronną umysłową zadyszkę. Bo cóż począć ze zdaniem:

„[...] rzekibrzeg, postepując od Ewy i Adama, od wygięcia wybrzeża do zakola zatoki, zanosz nas znów przez *commodius vicus* recyrkulacji pod Howth Castle i Ekolice”

(s. 3, przekład Krzysztofa Bartnickiego)

albo:

„[...] RZEKABIEGNIE MIMO Ewy i Adamsa, od odchylenia brzegu do wygięcia zatoki, przynosząc nas przez obszerną wieśrecyrkulacji zpowrotem do Howth – Zamku i Otoczeń”

(przekład Jacka Malickiego)?